

DLA DUSZY



JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA GAZETA (2)



NUMER 7566

Auschwitz może
się powtórzyć.
Toczy się walka
dobra ze złem i teraz
świat znowu idzie
w złym kierunku.
Tego się obawiam



Teatr Wielki - Opera Narodowa otwiera jutro sezon 2016/2017 operą „Pasażerka” powstałą na podstawie powieści Zofii Posmysz (1923) - więźniarki obozów Auschwitz i Ravensbrück, pisarki, współautorki m.in. scenariusza do filmu Andrzeja Munka pod tym samym tytułem.

„Pasażerka” to jedyne dzieło operowe o zagładzie w Auschwitz. Skomponował je w 1968 r. Mieczysław Wajenberg, polski kompozytor żydowskiego pochodzenia mieszkający w ZSRR. Libretto napisał Aleksander Miedwiediew. Opera przez lata nie była wystawiana ze względów politycznych. Jej światowa premiera - w inscenizacji brytyjskiego reżysera Davida Pountneya - miała miejsce w 2010 r. w Bregencji w Austrii, zaraz potem odbyła się premiera polska. Od tamtej pory dzieło prezentowano m.in. na scenach Londynu, Houston, Nowego Jorku, Chicago, w grudniu opera będzie pokazywana w Chinach. W niedzielę 18 września i we wtorek 20 września będzie ją można ponownie zobaczyć w Polsce, w Teatrze Wielkim w Warszawie.

Z ZOFIĄ POSMYSZ ROZMAWIA DONATA SUBBOTKO

DONATA SUBBOTKO: Co ludzie mówią, gdy widzą na pani ręce wytatuowany numer?
ZOFIA POSMYSZ: Kiedyś od razu pytali, co to jest. Obóz? A który? Teraz już wiedzą, że to nie jest numer telefonu.

Telefonu?
- Jechaliśmy kiedyś z mężem pociągiem do Paryża, w Kolonii wsiadła para Niemców. Miałam krótki rękawek, mężczyzna spojrzal i pyta, czy 7566 to numer telefonu. Myślałam, że żartuje, więc mówię, że tak. Zdziwił się, że wolę mieć numer na ręce, nie w notesie. No to mu powiedziałam, że to nie ja wybiłam sobie ten numer, tylko mnie wybito, w takim miejscu, które się nazywa Auschwitz. Przeprasził.
Ma pani za sobą trzy lata w Auschwitz, marsz śmierci, pobyt w Ravensbrück i Neustadt-Glewe, 93 lata – i tak ładnie pani wygląda.

- Żartuje pani, jestem na ostatnich nogach. Wróciłam wczoraj z Oświęcimia, byłam na spotkaniu z grupą z Niemiec.

Ciągnie tam panią?
- To mój obowiązek. Skoro przeżyłam, to chyba po to, żeby mówić o tym, co było.

Raz znalazłam się w grupie byłych więźniów, których zaproszono do Drezna na spotkanie z młodzieżą. Było mi wstyd, kiedy słyszałam panie, które potrafiły tylko płakać: „Och, ja byłam taka nieszczęśliwa, tak mi się chciało do mamusi”. Młodzież tylko patrzyła, niczego się nie dowiedziała. Przecież nie chodzi o to, żeby rozczulać się nad swoim cierpieniem. Nie o to.

A co z nim zrobić?
- Milczeć, o tym nie mówić. Dlatego tak nie znoszę pytań w stylu: „A co pani czuła, kiedy panią bili?”. A co można czuć, jak cię walą w mordę?

Pewnie są też różne inne rzeczy, o których nigdy pani nie powie?

- Nie wszystko jest do powiedzenia, ale staram się odpowiadać na konkretne pytania. Jeżeli np. dziewczyna mnie pyta, ile otrzymywałyśmy podpasek higienicznych, mówię, że żadnych. Tylko tyle. Kiedy pada bardziej ogólne pytanie, co mnie przeprowadziło przez obóz, też mam trudności. Unikałam sytuacji bardzo niebezpiecznych, ale dlaczego przeżyłam śmiertelne choroby obozowe, tyfus i czerwone? Zwykle mówię, że widocznie Bóg tak chciał, ale nie wiem, czy słuchają mnie wierzący, czy niewierzący, a nie chcę nikogo nawracać.

Nie każdemu, kto przeżył takie rzeczy, została wiara.

- Tak, jedni mówią, że Boga nie ma, inni, że był na urlopie, jeszcze inni, że był tam z nami, cierpiał. Moja najbliższa przyjaciółka Marta straciła wiarę w obozie. Przywieźli z Radomia całą jej rodzinę: mama umarła, ojca, męża i braci rozstrzelali. Poznałam ją w Birkenau, pracowała przy sąsiednim kotle. Spadł jej na nogę gorący kocioł z tzw. herbatą i chodziła z paskudną raną. Zaprzyjaźniłyśmy się. Okazało się, że ma w obozie dwie siostry, którym udało się dostać do szwalni, ale głodują. Wiedziałam, że dzieli swoją porcję i im zanosí, to się do tego dołączyłam.

Czyli możliwa była przyjaźń w obozie?
- Tamte przyjaźnie były dozwolone. Już wcześniej, w pierwszych miesiącach pobytu w Auschwitz, tych najtrudniejszych, miałam do wody troski ze strony osoby, która była słabsza ode mnie.

Tej, którą nazwała pani Ptaszka?
- Tak, dziewczyna z „Wakacji nad Adriatykiem” – z tej powieści jestem zadowolona jako najbardziej werystycznej z moich książek. Ptaszka w rzeczywistości miała na imię Zosia. Skrzypaczka, ale w obozie nie chciała grać. Mogła się uratować, gdyby poszła do orkiestry, ale nie chciała. „Dla nich grać nie będę” – powtarzała. Zresztą nie wierzyła, że przeżyje. Mówiła: „Ja stąd nie wyjdę”. I nie wyszła.

Mnie przez obóz przeprowadziła wiara. Pod koniec szkoły powszechnej w Krakowie katecheta zaproponował, żebyśmy przez dziewięć miesięcy każdego pierwszego piątku miesiąca przystępowały do komunii. Kto odbędzie taką nowennę, nie umrze bez sakramentu. Gdy w Oświęcimi zobaczyłam więźniarkę wisząc

ą na drutach, zrozumiałam: ja tego nie zrobię, nie umrę tutaj, bo jak bez tego obiecanego sakramentu?

W tyfusie dziesięć dni leżałam w gorączce, 40 stopni. Bez leków. Płynów tyle, ile pani Maria, więźniarka pełniąca funkcję pielęgniarki, dla mnie zaoszczędziła, ssalam też szron z okna nad moją pryczą. Którejs nocy straciłam przytomność. Zobaczyłam kielich z płatkami Eucharystii i pomyślałam, że jednak umieram. Co to było? Wizja, sen? Rano obudziła mnie pani Maria, wkładała mi pod pachę termometr – w obozie nie było lekarstw, ale termometry były – i powiedziała, że gorączka spadła. Jakiś czas później Marię, której nazwiska nie poznałam, wezwano do obozowego gestapo i zabito zastrzykiem z fenolu.

Zaraz po tyfusie miałam biegunkę głodową, nie mogłam się już podnieść na łóżku. W tym czasie kierownictwo lagru po raz pierwszy zdecydowało się zorganizować w obozie komando lekarzy-więźniów. Pojawił się dr Mąkowski. Zobaczył, jak wyglądam, i mówi: „Wytrzymaj jeszcze tę noc”. Nie spałam, rano przyniósł buteleczkę z lekarstwem przemyconym z lazaretu SS. Potem zdecydował o odesłaniu mnie z rewiru, ratując przed odwstąpieniem, które nieraz wiązało się z wielogodzinnym stanieniem na mrozie, czego w tym stanie bym nie przeszła. Uratował mi życie.

Jak znalazła się pani w obozie?
- Gdy wybuchła wojna, miałam 16 lat. Chodziłam na tajne nauczanie, gdzie – jak przed wojną – uczyłam się m.in. niemieckiego, co mnie potem ocaliło. Ktoś na nas doniósł. Wpadło gestapo. Byłam tylko ja i trzech chłopców. Kolega miał ulotki. Był lojalny, podczas przesłuchań w więzieniu na Montelupich mówił, że nie mam z tym nic wspólnego. Po półtora miesiąca mnie wywieźli. 30 maja 1942 r.

Wiedziała pani, dokąd pani jedzie?
- Strażniczka powiedziała. Weszła rano i kazała kobietom szykować się na transport do Oświęcimia. Mówiła po polsku, była ze Śląska. Człowiek na gestapo, który mnie bił, też mówił po polsku. O Oświęcimi coś już słyszałam. Tata był kolejarzem, odbywał trasy w kierunku Katowic, tam miejscowi opowiadali, że powstał jakiś straszny obóz, gdzie ludzie giną z głodu i chłodu albo ich mordują.

I jak pani zareagowała?
- A wie pani, że się ucieszyłam?
Jak to?
- Wydawało mi się, że nie może być nic gorszego niż więzienie, ciągle przesłuchania i bicie, strach, że w końcu mnie zmuszą do powiedzenia czegoś, czego bym nie chciała.



Proszę pani, ja przeżyłam obóz, to jak mi pani może mówić, że ktoś jest „gorszy”? To ja też jestem gorsza

Jechaliśmy pociągiem osobowym, w cywilizowanych warunkach. W Oświęcimi w na dworcu przejęli nas strażnicy obozowi, szliśmy pieszo do głównego obozu. Zobaczyłam napis „Arbeit macht frei” i pomyślałam: nic złego, nie boję się roboty, jeśli będę dobrze pracować, to mnie zwolnią, zwłaszcza że nie mam żadnej poważnej sprawy. Nie miałam świadomości, czym jest obóz.

Przyjechało nas ponad 50 kobiet, kazano nam się rozebrać i wykapać, ale nie było normalnej łaźni, tylko kadzie z wodą do płukania kartofli. Dostałyśmy po kawałku brązowego mydła i musiałyśmy się w tej kadzi wykapać. Nie chciałam wejść, wtedy po raz pierwszy zostałam uderzona – dostałam w twarz od więźniarki funkcyjnej, pojęcia kapo jeszcze nie znałam. A potem była noc, absolutnie bezsenna. Miliony pcheł.

Szybko trzeba się było wdrożyć w dyscyplinę, unikać kija. O pół do czwartej apel, o szóstej wymarsz i praca w polu, rozbijałyśmy skamieniałe skiby ziemi. Mdlaliśmy. Niosło się z pola te nieprzytomne do obozu. Czasem funkcyjne je dobijały. Jak to się wytrzymywało, nie

wiem, byliśmy skrajnie wyczerpane, a jeszcze kogoś nieść?

Też byłam tak niesiona. Na bramie przy liczeniu komanda usłyszałam głos: „Mein Gott, so jung”, jaka młoda. Ocknęłam się, a nade mną pochyla się twarz esesmanki. Z autentyczną troską to powiedziała. Pomyślałam, że może nie będzie tak źle, skoro oni są jeszcze zdolni do współczucia.

Potem trafiłam do Wasserkomando, oczyszczałyśmy stawy z szuwarów. To był maj, ale jeśli się stoi w wodzie przez cały dzień, to ta woda jest zimna. Zazębiałyśmy się, kobiece sprawy, wie pani.

W czerwcu nasza 200-osobowa grupa została skierowana do karnej kompanii za to, że jedna z dziewczyn uciekła. Po dwóch miesiącach było nas 147.

Co to była za kompania?
- W podobozie w Budach, 4 km od Oświęcimia. Tu było gorzej niż w głównym obozie. Spaliśmy w dawnej wiejskiej szkole na siennikach. Jedna umywalka, zajmowały ją więźniarki funkcyjne, kapo – cztery Niemki, kryminalistki i prostytutki. Na zewnątrz studnia, nalewano nam wodę chochlą do kubków, pół litra dziennie. Niektóre z nas były tak heroiczne, że nie piły tej wody, tylko się myły. Inne szydziły. Czytała pani „Zengerin”? Tam o tym pisałam.

Tytułowa Zengerin to pani?
- Tak. Jakie to ma znaczenie?
Pisała pani jak o kimś obcym.
- Zawsze łatwiej.

Bohaterka podpada, jest przeznaczona do ubicia, tyle że ładnie śpiewa.

- Miałam dobry głos, kazano mi śpiewać dla szefa komanda. Jeśli pobił którąś z nas – a bardzo to lubił – i padałyśmy nieprzytomne, to często funkcyjne kończyły za niego dzieło. Lora, Truda, Toni i czwarta, nazywana przez nas Krową, tak na nas ryczała. No, to były sadystki. Może Toni bardziej ludzka.

Panował potworny głód. Nie było dodatku dla ciężko pracujących: jedna trzecia chleba kilogramowego, do tego margaryna czy kwark, rodzaj sera. W głównym obozie można się było przed głodem ratować, tutaj nie. Na szczęście w sierpniu skończyła się nasza kara i przeniesiono nas do obozu Birkenau.

Birkenau jako obóz zagłady kojarzy się gorzej niż główny obóz, koncentracyjny.

- Dla Polek było odwrotnie. Ludzie sądzą, że Oświęcim był wciąż i dla wszystkich taki sam. To nieporozumienie. Każdy więzień ma swój Auschwitz, jak powiedział pięknie Władysław Bartoszewski. Jedna relacja nie może dać obrazu całości. Wszystko zależy od tego,

gdzie się było, kto kim był.

W Birkenau Polki mogły pracować pod dachem, co nie było dla nas dostępne wcześniej, w głównym obozie. Praca pod dachem dawała nadzieję. Żydzi tego nie mieli. Ci, którzy byli przywożeni na rampę, nie trafiali do obozu, tylko do komory gazowej. Spalone mięso – to był zapach dominujący.

Pierwsze tygodnie pracowałam jeszcze w polu, ale raz na blok wpadł esesman. Nie wiem, dlaczego ustawiłam się w pierwszym szeregu – nigdy tego nie robiłam, byłam już na tyle cwa-na, że chowałam się w środku. To był szef kuchni, wybrał mnie i kilka osób do obieralni kartofli. Ogromny awans.

Po dwóch miesiącach znowu była wybiórka, kilka kucharek zapadło na tyfus i przyszli do obieralni po nowe kobiety. Miałam miszkę kartofli, wstałam, żeby zanieść je do basenu – a oni mnie wzięli jako pierwszą. Praca w kuchni oznaczała szansę na przeżycie.

To nie trwało długo, w listopadzie 1942 r. zachorowałam na tyfus – już opowiadałam. Gdy mnie uratowano, byłam posługaczką przy cho-

rych. Na tym by się skończyło, ale znów – wie pani, to były cuda – zjawił się esesman z kuchni. Od razu się zgłosiłam, powiedziałam, oczywiście po niemiecku, że już tam pracowałam i że jestem zdrowa. Udało się. Obsługiwałam kotły do czerwca 1943 r., kiedy wymieniano męską załogę esesmańską na damską i do obozu trafiły nadzorczyźnie z Ravensbrück. Wśród nich Aufseherin Franz, która została szefową kuchni. Potrzebowała Polki znającej niemiecki. Zadała mi kilka pytań i poleciła prowadzenie księgowości. I tak już było do końca. Nastal lepszy czas.

Pewnie inaczej odczuwa się mijanie czasu przy takiej intensywności przeżywania?

- Wszystko zależało od etapu. Na początku myślałam, że jeśli przeżyłam trzy kwadranse to przeżyję trzy następne. Potem, gdy była większa szansa na przetrwanie, myślało się tylko o tym, jak jej nie stracić, nie zachorować. Najgorsze były te miesiące, kiedy szalał tyfus. Wszy były wszędzie. I w ogóle przerażające insekty. Pluskwy, pchły. I szczury. Gdy leżałam chora na czerwone, jeden gryzł mi palec u nogi. Widziało się, jak szczury obgryzały ciała tych już nieżyjących. I jak hasały po stosach zwłok pod blokami. Rzeczywistość niewyobrażalna. A ludzie sami szli na druty. W nocy budził mnie ten straszny głos, nie wiedziałam, że tak krzyczy człowiek rażony prądem.

Dzisiaj wracają tamte wspomnienia, kiedy coś się dzieje na ulicy, biją kogoś, ktoś krzyknie. Czasem wystarczy, że włączę radio i leci walc Straussa albo operetkowe arie Lehára czy Kálmána. Natychmiast jestem w obozie. Orkiestra to grała.

Ludzie się poddawali, łatwiej było umrzeć, niż przeżyć?

- Ja tutaj nie umrę – to sobie powtarzałam. Mnie się nic nie może stać.

Plakała pani?
- W obozie nigdy.

Po obozie?
- Zdolność do płaczu odzyskałam kilka lat po wojnie.

Obóz to sprawił czy wychowanie?
- Byłam normalnym dzieckiem, skłonnym do wzruszeń. Kiedy słyszałam „Legiony to żołnierska nuta...” czy inne patriotyczne pieśni, to, ojej, oczy miałam pełne łez.

A dzisiaj?
- „My, Pierwsza Brygada” zawsze mnie rozczuła.

Co się porobiło z tym patriotyzmem teraz?
- Ostentacyjnego patriotyzmu, egzaltacji nie lubię. Gesty na pokaz, fanatyczne postawy nie są potrzebne. Dlatego gdy ktoś zaczyna ze mną gadkę od tego, że trzeba być patriotą, mówię za Słowackim: Polska, Polska – dobrze, ale jaka?

W 1945 r. wracałyśmy z moją Martą pieszo z obozu Neustadt-Glewe. W Poznaniu na dworcu odmówiono nam bezpłatnego biletu na pociąg do Krakowa. Nasza gromadka mówi: „Przecież wyszliśmy z obozu”. Urzędniczka: „Numer to każdy może sobie napisać”. Jakiś czas później Marta powiedziała: „Nie takiej Polski chciałam”. I wyjechała.

W jakim stanie pani wracała?
- Jeżeli przesłam pieszo spod Hamburga do Poznania, to znaczy, że miałam kondycję.

W domu zastałam mamę piekącą placki kartoflane wprost na blasze, biedactwo nie miała nawet tłuszczu. Ona i mój młodszy brat nie mieli z czego żyć, tatę Niemcy zastrzelili w 1943 r. Musiałam im pomóc. To był mój cel. Pewnie dlatego nie przechodziłam traumy obozowej. Wyjechałam do Warszawy, do siostry, która podczas wojny wyszła za mąż za warszawiaka, uczyłam się i pracowałam. Męczyły mnie sny, że Franz opuściła obóz i została wyrzucona z pracy. Widocznie to był największy mój lęk w tym ostatnim okresie.

Pamiętam, jak jechałam z Warszawy do Krakowa, wiozłam swoją pierwszą pensję i pierwszą paczkę z UNRRA, 5 kg jedzenia. W paczce konserwy, olej i inne wiktuały. Mama się zdumiała i powiedziała: „Teraz ty jesteś naszym ojcem”. To była najszczęśliwsza chwila w moim życiu. Po to przetrwałam.

Kiedy pojechała pani do Oświęcimia pierwszy raz po wojnie?

- W czerwcu 1945 r., z mamą. Chciała zobaczyć, jak tam „mieszkalam”. Gdy jej pokaza-

łam, nie chciała widzieć nic więcej, kazała zapomnieć i nigdy tam nie przyjeżdżać.

Co jej pani pokazała?

- Blok 27 w Birkenau, ten tyfusowy, jest tuż za bramą. Wszystko było otwarte, jeszcze nie było żadnych władz, po obozie grasowali miejscowi czy może przyjezdni poszukiwacze skarbów po Żydach.

Pokazałam mamie swoją pryczę - najwyższą, najlepszą - chociaż gdybym z niej spadła, a w gorączce mogłam spaść, byłoby po mnie. Mama popatrzyła i spytała: „W tych szufladach spałyście?”. Bo spałyśmy po sześć, siedem na jednej koi. Mówię, że tak. Mama nic nie powiedziała, tylko że już idziemy. Przyjechałyśmy do domu, nie odpowiadała na żadne pytania.

Jakie cechy trzeba było mieć, żeby przeżyć obóz?

- Niezależnie od przekonania, że się przeżyje, trzeba było umieć się zachować. Aż śmieszne, jak kłamałam esesmanom w żywe oczy. Był taki Taube, morderca urodzony, chodził ze swoim komando Niemek na blok 25, gdzie leżały chore, żeby je dobijać. Potrafiłam go kiedyś okłamać, a gdybym się zawahała, skończyłabym tak samo. To było w 1944 r. Do naszego baraku trafiło komando więźniów stolarzy, mieli coś dobudować. Chcieli, żebym im przechowała gitarę, którą zorganizowali na rampie po selekcji. Zdziwiłam się: po co im gitara? W moim kąciку pracy była kozetka dla Aufseherin Franz. Więzień włożył gitarę pod wałek i poduszkę, miał ją zabrać po robocie. Jakby na złość, tego samego dnia wpadł tam esesman, spojrzał na kozetkę i do mnie: „Kann man gut ficken” [„Można się fajnie p...lić”].

Młoda, ładna dziewczyna...

- Udałam, że nie rozumiem. Ale generalnie esesmanów to nie poruszało, może o tyle, że kiedyśmy się kąpały, przychodzili do sauny. Stali i się gapili, lubili patrzeć. Uważali, że my z kuchni jesteśmy dobrze odżywione, ubrane. No, rzeczywiście miałyśmy ludzki wygląd.

Wyciągnął się więc na tej kozetce, położył głowę - a tam gitara. Nazajutrz wezwano mnie do Taubego i głównej nadzorkczyny SS w kobiecym obozie. Bez mrugnięcia okiem wytłumaczyłam, że przecież w męskiej orkiestrze obozowej brakuje gitary i dlatego więźniowie ją zorganizowali. Uznali, że to możliwe.

Bez moralizowania opisuje pani w „Wakacjach nad Adriatykiem” m.in. relacje homoseksualne w obozie.

- Może mocniej zostały mi w pamięci inne obrazy. Para więźniów, kobieta i mężczyzna, kochających się na stojąco w komorze, do której nosiło się trupy z rewiru. Albo widok wielu par leżących za barakiem. W 1944 r. zaczęły się naloty na Oświęcim i obozy były zagrożone, esesmani po alarmie musieli opuszczać obóz, my oczywiście zostawaliśmy. To był czas, kiedy do kobiecego obozu przychodziły komanda jeńców sowieckich do budowy drogi. Któregoś dnia wychodzę po alarmie z bloku i widzę, że koło rowu leżą ci rosyjscy więźniowie z kobietami. Wycofałam się. Dużo ludzi przypadkowo dobranych.

Moja kapo w kuchni była w relacji z inną więźniarką funkcyjną, także Niemką. Mimo że homoseksualizm był karany, to był jak gdyby oficjalny związek. Władze to wiedziały i czasem tolerowały.

Dziś znowu mamy „podludzi” - homoseksualistów, niekatolików, uchodźców, ludzi gorszego sortu...

- Proszę pani, ja przeżyłam Oświęcim, to jak mi pani może mówić, że ktoś jest „gorszy”? To ja też jestem gorsza.

Dlaczego pani jest gorsza?

- Bo nie godzę się z takim patrzeniem na człowieka. Ocenianiem go według tego, czy on wyznaje to lub tamto, jak i z kim żyje i jakie ma poglądy. Chyba że są to poglądy zbrodnicze. Na to zgody być nie może. W każdym człowieku szukam człowieczeństwa.

Czy Auschwitz czegoś nas nauczył?

- Jednych tak, innych nie. Zawsze wierzyłam, że człowiek jest dobry, ale i dobry człowiek może być wciągnięty w zbrodniczą ideologię. Przecież to ludzie ludziom zgotowali ten los, że odwołam się do Nałkowskiej.

Auschwitz może się powtórzyć. Toczy się walka dobra ze złem i teraz świat znowu idzie w złym kierunku. Tego się obawiam.

Człowiek taki jak ja, który był tam i widział, jaki jest skutek faszyzmu, nacjonalizmu, ksenofobii, jakie to owoce już kiedyś przyniosło, zawsze będzie przeciwko temu.

Czym wytłumaczyć przyzwolenie na agresywny nacjonalizm?

- Proszę ode mnie nie oczekiwać oceny politycznej. Powtórzę tylko za Bartoszewskim, że warto być przyzwoitym, tyle bym rekomendowała każdemu pojedynczemu człowiekowi. I tyle.

Co pani zabrał obóz?

- Nie wszystko jest do publikacji, ale - mówiąc ogólnie - zdrowie.

I głos. Po tyfusie trzy miesiące nic nie mówiłam. Jakoś to przeszło, ale o śpiewaniu nie było już mowy.

Myślę, że straciłam też zdolność do pewnych uczuć. Po obozie inaczej widziałam sprawy miłości. Seks nie był najważniejszy.

Miała pani męża.

- Ale to był dobry i mądry człowiek, znowu miałam szczęście. Była między nami więź duchowa. Może to moje podejście do miłości wzięło się od poznania w obozie Tadeusza. **Tadeusz Paolone, pseudonim „Lisowski”, stał się bohaterem pani opowiadania „Chrystus oświęcimski”, ale występuje także w pani najsłynniejszej książce „Pasażerka”. Był w pani zakochany?**

- Nie wiem, w swoich grypsach tego nie wyrażał, ale pięknie pisał.

Kapitan Wojska Polskiego, dziesięć lat starszy ode mnie. W 1940 r. chciał dotrzeć do armii polskiej na Zachodzie, przedarł się przez granicę, ale dopadli go Słowacy i oddali w ręce gestapo. Był w pierwszym męskim transporcie do Auschwitz. Numer 329. Poznałam go w czerwcu 1943 r., 11 października rozstrzelano go z grupą kilkudziesięciu oficerów. Był jednym z przywódców obozowego ruchu oporu. Kazał sobie strzelać w twarz, jak żołnierzowi.

A o nadzorkczynie SS Annelise Franz, o której napisała pani „Pasażerkę”, ciągle nic nie wiadomo?

- O Boże, to jest nowa historia! W 2010 r., przy okazji światowej premiery opery „Pasażerka” w Bregencji, zgłosił się do mnie dziennikarz z pytaniami, co o niej wiem. Nic nie wiedziałam. Rok temu dostałam od niego list, że odnalazł jej ślad. Ona sobie po wojnie żyła w Niemczech, miała dwoje dzieci, wcześniej umarła, w 1956 r. Czyli kiedy w końcu lat 60. wydano za nią nakaz aresztowania, było już po wszystkim.

Pani i tak ją rozgrzeszyła?

- Gdybym została wezwana na świadka, powiedziałabym tak, jak było - że wobec mnie była w porządku. A wie pani, że ona podobno pochodziła z Görlitz, czyli ze Zgorzelca? Z domu nazywała się Jankowicz, jej mama była katoliczką, czyli albo była Polką, albo pochodzenia polskiego.

Jutro opera „Pasażerka” wraca na scenę Teatru Wielkiego.

- Oglądając ją wiele razy, w różnych miejscach świata, wciąż odkrywam dla siebie muzykę Wajnberga, pewne fragmenty kojarzą mi się z obozem. Skąd on mógł wiedzieć to wszystko? Libretto odbiega od książki, autor wprowadził elementy zbyt patetyczne, hasła w stylu „Nigdy nie zapomnimy”.

Zapominamy?

- Co z tego zostanie, czy ci, którzy teraz mnie słuchają, potrafią to przekazać swoim dzieciom? Nie łudzę się. Ale chyba po to jeszcze żyję, żeby przywoływać pamięć o tamtych ludziach. „Ocalałeś nie po to aby żyć/masz mało czasu trzeba dać świadectwo” - pisał Herbert. Inaczej przecież już dawno nie powinnam żyć. Nie żyje mój brat, nie żyją moje siostry, nie żyje mój mąż.

Powiedziałaby pani coś dobrego o swoim życiu w obozie?

- Przeżyłam tam coś najważniejszego, poznanie Tadeusza.

A co pani myśli, gdy patrzy na swoje obozowe fotografie, na tę dziewczynę w pasiaku?

- Miewałam lepsze zdjęcia. ●